

i pożądaną ze strony „męskich” podmiotów. Czy może jednak postępować inaczej, nie chcąc zarazem „wypaść z rynku”?

W naszym porządku społecznym kobiety są „wytwarzane”, „używane” i wymieniane przez mężczyzn. Przysługuje im status „towarów”. Jakim sposobem taki użytkowy i wymienny przedmiot domagać się może prawa głosu, a szerzej, praw do uczestnictwa w wymianie? Towary przecież, jak wiadomo, nie dostają się na rynek same, a gdyby potrafiły mówić... Kobiety muszą zatem stawić opór zapoznanej „bazie” naszego społeczeństwa i naszej kultury. Użytkowanie, konsumpcja, obrót ich upłciowionych ciał podtrzymują organizację i reprodukcję porządku społecznego, w którym nigdy nie brały udziału jako „podmioty”.

Kobieta zatem znajduje się w położeniu *swoistego wyzysku* w stosunku do funkcjonowania wymian: płciowych i ogólnej ekonomicznych, społecznych i kulturowych. „Uczestniczy” w nich jedynie w randze obiektu transakcji, o ile nie zgodzi się na wyrzeczenie się swoistości swej płci, której tożsamość narzucana jest jej zgodnie z obcymi dla niej wzorcami. Upośledzenie społeczne kobiet potęguje się dodatkowo i komplikuje z racji pozbawienia ich dostępu do języka innego niż za pośrednictwem systemów „męskiej” reprezentacji, odbierających kobiecie możliwość odnoszenia się do siebie samej i innych kobiet. To, co „kobiecie”, określane jest zawsze wyłącznie przez i dla tego, co męskie, przy czym zwrotna relacja okazuje się tutaj niemożliwa.

Wszelako taka kondycja swoistego ucisku może dać dziś kobietom możliwość wypracowania „krytyki ekonomii politycznej” w tej mierze, w jakiej zajmują one zewnętrzną pozycję wobec rządzących wymianą praw, włączone w nią wyłącznie jako „twar”. Krytyki ekonomii politycznej, która tym razem nie może obyć się bez towarzyszącej krytyki dyskursu, w jakim się ona realizuje, zwłaszcza zaś jej metafizycznych założeń. I takiej, która w odmienny sposób interpretowałaby, co oczywiście, wpływ ekonomii dyskursu na analizę stosunków produkcji.

Co bowiem stałoby się z rządzącym społeczeństwem procesami symbolicznymi bez wyzysku kobiecego ciała-materii? Jakim modyfikacjom uległaby, gdyby kobiety z przedmiotów konsumpcji czy wymiany, z konieczności pozbawionych mowy, niemych, na przekór męskiemu, a ściślej fallokratycznemu modelowi, przeistoczyły się w „podmioty mówiące”?

Siłą rzeczy nie obyłoby się to bez zakwestionowania dyktującego prawa dyskursu, panującego obecnie nad wszystkim, łącznie z różnicą między płciami, na tyle niepodzielnie, że istnienie innej płci, innego/ innej czyli kobiety, nadal wydaje mu się czymś nie do namulenia.

## Così fan tutti

„Kocham tego, komu przypisuję wiedzę”.

„Nie wiedzą, co mówią – na tym polega różnica między nami”.

Psychoanaliza ujmuje kobiecą seksualność w dyskurs prawdy. Dyskurs wypowiadający prawdę logiki prawdy, co oznacza, że *kobiecość funkcjonuje wyłącznie w ramach modeli i praw ustanawianych przez męskie podmioty*. Z czego wynika, że w istocie nie istnieją dwie płcie, a tylko jedna. Jedna praktyka i jedna reprezentacja płciowości. Z jej historią, wymogami, przeciwieństwami, brakami, negacjami..., których podłożem jest płeć kobieca.

Ów model *falliczny* hołduje wartościom propagowanym przez patriarchalne społeczeństwo i kulturę, wartościom wpisanym w pewien korpus filozoficzny, tworzony przez własność, produkcję, porządek, formę, jedność, widzialność... oraz erekcję.

Po części nieświadomie powielając tę zachodnią tradycję, a zarazem odtwarzając scenę, na której występuje, psychoanaliza wydobywa na jaw jej prawdę, tym razem *płciową*.

Dowiadujemy się wobec tego od Freuda, że jedyną siłą napędową „normalnego rozwoju kobiety” jest „zazdrość o penisa” bądź chęć przywłaszczenia sobie organu płciowego monopolizującego na płaszczyźnie kulturowej wszelkie wartości. Pozbawionym go kobietom nie pozostaje nic innego, jak zazdrościć go mężczyznom, a nie będąc w stanie wejść w jego posiadanie, zmuszone są one szukać jego ekwiwalentów. Kobieta

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty zaczerpnięte zostały z: J. Lacan, *Encore. Le séminaire, livre XX*.



spełniać się może ponadto wyłącznie w macierzyństwie, w wydawaniu na świat potomstwa, „substytutu penisa”, a do pełni szczęścia brakuje tylko tego, by jej dziecko samo było jego posiadaczem. Zwieńczeniem rozwoju kobiety byłoby, wedle Freuda, zreprodukowanie płci męskiej z pogardy dla własnej. Kobiecie bowiem tak naprawdę nigdy nie udaje się przezwyciężyć kompleksu Edypa. Nieodwołalnie zaprzęgnięta w jarzmo pragnienia ojca, podporządkowana mu i dyktowanemu przezeń prawu, ze strachu przed utratą jego miłości – jako jedynej, która może obdarzyć ją jakąkolwiek wartością<sup>2</sup>.

Prawda prawdy kobiecej seksualności z jeszcze większą w istocie ścisłością wyraża się wówczas, gdy psychoanaliza za przedmiot swych dociekań obiera *sam dyskurs*. W tym przypadku anatomia nie może posłużyć choćby w najmniejszym stopniu za dowód-alibi faktycznej różnicy między płciami. Te bowiem definiowane są odtąd wyłącznie w ramach języka i przez język, który je determinuje. Język, którego prawa, o czym nie wolno zapominać, od wieków dyktowane są wyłącznie przez męskie podmioty.

Z tego względu: „Nie ma kobiety, która nie byłaby wykluczona z natury rzeczy, która jest naturą słów, wobec czego należy stwierdzić, że jeśli mają one jakiś powód, by się skarżyć w obecnej dobie, nie jest nim nic innego jak to – zwyczajnie nie wiedzą, co mówią, na tym polega cała różnica między nami”<sup>3</sup>.

Trudno o bardziej dobitne sformułowanie. Kobiety podlegają wykluczeniu. Co może stanowić powód do narzekań... Wszelako to wyłącznie męski dyskurs, w tej mierze, w jakiej stanowi prawo – „na tym polega cała różnica między nami”? – może dociec tego, na czym polega i skąd bierze się owo wykluczenie. Równocześnie je utrwalając. Nie dając kobietom nadziei na wyswobodzenie się z owego wykluczenia. Wykluczenie to bowiem należy do porządku, któremu nie nie potrafi się wymknąć – porządku jego [męczyzny] dyskursu. Odpowiedź na zarzut, że dyskurs ten być może nie jest wszystkim (całością), brzmieć będzie: to kobiety są „nie-wszystkim”.

Żadna rzeczywistość nie ujdzie cało tej obłączniczej machinie projekcyjnej. Z życiem. Każde „ciało” ulegnie w niej przeobrażeniu. To jedyny sposób, w jaki „podmiot” rozkoszować się może ciałem, uprzednio je rozczłonkowawszy, odziasz, przebrawszy, umartwiwszy się w swych

<sup>2</sup> Stanowisko Freuda w kwestii kobiecej seksualności wyłożone zostało w rozdziale *Powrót do teorii psychoanalitycznej*, a jego szczegółową krytykę znaleźć można w *Speculum, de l'autre femme*.

fantazmatach. Przerażające jest to, że obraca on owe fantazmaty w prawo, posuwając się wręcz do tego, że bierze je za naukę, której nie może oprzeć się ani wymknąć żadna już rzeczywistość. Wszystko bowiem zostaje już ustalone i przesądzone w jego dyskursie i poprzez ów dyskurs.

„Nie istnieje jakakolwiek rzeczywistość predyskursywna. Każda rzeczywistość ufundowana jest na dyskursie i przezeń definiowana. Dlatego tak ważne jest, byśmy uzmysłowili sobie, na czym polega w istocie dyskurs analityczny, i nie pojęli błędnie tego, o czym wspomnieć tu można jedynie mimochodem, mianowicie faktu, że w dyskursie tym mówi się tak naprawdę o tym, co doskonale wyraża słowo *pieprzyć*. Mówi się w nim zatem o pieprzeniu – co oddaje czasownik angielski *to fuck* – i mówi się, że zawodzi”<sup>4</sup>.

Zawodzi... Rozpatrzmy to stwierdzenie, wychodząc od wymogów logiki. To, co nastrocza problemów, w rzeczywistości okazuje się być uzasadnione przez logikę, która uprzednio już urządziła tę rzeczywistość jako taką. Nic odtąd nie wymknie się z błędnego koła tego prawa.

Jak zatem należałoby zdefiniować kobiety, ową stawiającą pewien opór dyskursowi „rzeczywistość”?

„Płciowa egzystencja owych nie-całych kobiet wymaga ciała, lecz tego, co wynika z logicznych wymogów mówienia. W istocie logika spójności wpisana w fakt istnienia języka i jego zewnętrżności wobec pobudzanych przezeń ciał, jednym słowem Innego, który ucieleśnia się, jeśli można tak to ująć, jako byt płciowy, wymaga owej procedury [liczenia w kolejności] *jednej po drugiej*”<sup>5</sup>.

Płciowość kobieca byłaby zatem uwarunkowana pewnymi wymogami logicznymi, istnieniem wykraczającego poza ciało języka, wymagającego jednak w tym celu mimo wszystko, „jeśli można tak to ująć”, wielienia, brania kobiet *jednej po drugiej*. Należy przez to rozumieć, że kobieta nie istnieje, istnieje za to język. Kobieta nie istnieje z racji niepodzielnego panowania języka – pewnego języka, istnienie jej bowiem jako swego rodzaju „rzeczywistości predyskursywnej” groziłoby zburzeniem jego porządku.

Ponadto w tej mierze, w jakiej kobieta nie istnieje, podtrzymuje ona pragnienie owych „istot obdarzonych mową”, którym to mianem określa się męczyzn: „Męczyzna szuka kobiety, bez względu na to, jak bardzo mogłoby się to wam wydać zdumiewające – ze względu na coś, co mieści się wyłącznie w dyskursie, gdyż jeśli prawdą jest to, co twierdzą,

<sup>4</sup> Tamże, s. 33.



czyli to, że kobieta jest nie-cała, istnieje w niej zawsze coś, co wymyka się dyskursowi<sup>6</sup>.

Mężczyzna poszukuje jej zatem ze względu na jej wpisanie w dyskurs, zawsze wszelako pod postacią pewnego braku, luki, niedostatku czy niedomagania.

Czy wobec tego psychoanaliza, chcąc zachować najwyższą logiczną ścisłość, byłaby negatywną odmianą teologii? A raczej negatywem teologii? Skoro zakłada, że przyczyną pragnienia jest brak jako taki.

Jako teologia negatywna psychoanaliza pomija jednak pracę nad projekcjami: odarcie Boga z wszelkich doczesnych predykatów i wyrzucenie się jakiegokolwiek możliwości orzekania. Falliczna przeszkoda nie daje się usunąć. Inny zaś pozostaje miejscem wpisywania jej wytworów.

Pozbycie się ciała okazuje się jednak nie zawsze łatwym zadaniem dla tego pokroju psychoanalizy. W jaki sposób można by je zamknąć w logicznej maszynarii?

Na szczęście kobiety istnieją. Doprawdy nawet jeśli płciowa egzystencja „nie-całych” kobiet nie wymaga ciała, przynajmniej ich własnego, mimo wszystko służyć będą musiały za obiekt „a”, resztkę owego ciała. Kobieca egzystencja, upłciowiona w dyskursie i przez dyskurs, byłaby zatem miejscem składowania ubocznych odpadów funkcjonowania języka. Dlatego kobieta powinna pozostać ciałem bez organu/organów.

Dlatego wszystko, co wiąże się z kobiecymi strefami erogennymi, nie ma dla naszego psychoanalityka najmniejszego znaczenia: „Dlatego dowolnym mianem określać można ową [sferę] waginalną i mówić o tylnej ścianie ujścia macicy i wszystkich innych tego rodzaju pizdzielstwach – tak, oto właściwe słowo!”<sup>7</sup>.

Geografia kobiecej przyjemności nie jest zatem godna tego, by się w nią wsłuchać. Nie warto słuchać kobiet, zwłaszcza gdy starają się wypowiedzieć swą przyjemność: „nie wiedzą, co mówią”, „kobieta nie wie o tej rozkoszy”, „Wiarygodność stawianej tutaj przeze mnie tezy [...] potwierdza fakt, iż mimo nieustannych błagań (nawiązuję tu do naszych ostatniego wykładu o psychoanalityczkach), by cokolwiek nam na ten temat powiedziały, nie usłyszeliśmy ani jednego słowa! Niczego nie udało się z nich wydobyć”<sup>8</sup>. „*odnośnie do kobiecej seksualności nasze koleżanki analityczki nie mówią nam... wszystkiego! To nader wymowne. Nie udało im posunąć ani o krok na drodze do objaśnienia kwestii kobiecej*

<sup>6</sup> Tamże, s. 34.

<sup>7</sup> Tamże, s. 69–70.

<sup>8</sup> Tamże, s. 69.

seksualności. Musi się za tym kryć jakiś wewnętrzny powód, wiążący się ze strukturą samego aparatu rozkoszy”<sup>9</sup>.

Pytanie o to, czy w ramach tego rodzaju logiki mogą one cokolwiek wypowiedzieć i zostać zrozumiane, nie zostaje nawet postawione. Oznaczałoby to bowiem dopuszczenie możliwości istnienia innej jeszcze logiki, zaburzającej jego własną, innymi słowy rzucającej wyzwanie jej władztwu.

Dlatego, chcąc udaremnić tego rodzaju możliwość, nasz psychoanalitik prawo do rozkoszy przyznaje rzeźbie... „Wystarczy udać się do Rzymu i przyjrzeć się rzeźbie dłuta Berniniego, by natychmiast się przekonać, że Teresa szczytuje. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości”<sup>10</sup>.

Do Rzymu? Tak daleko? Mamy się przyglądać? Posagowi? Świętej? Wyrzeźbionemu ręką mężczyzny? O jaką rozkosz tutaj idzie? Rozkoszowanie się czym? W przypadku rozkoszy Teresy bardziej wymowne okazać się mogą pozostawione przez nią pisma.

Jak je „czytać” jednak, będąc „mężczyzną”? Kolejne wszelkiego rodzaju nieustające wytryski naszego psychoanalityka, najczęściej nazbyt przedczesne, nie pozwalają mu, w jego pragnieniu identyfikacji z panią, pojąć niczego z jej własnej – a może również jego własnej? – rozkoszy.

Wszelako fakt niewypowiadalności relacji płciowej w tym względzie nie przeszkadza mu powtarzać do znudzenia, że „u istot obdarzonych mową nie może się nawiązać jakiegokolwiek stosunek między płciami, bowiem tylko na tej podstawie da się wypowiedzieć to, co zastępuje ową relację”<sup>11</sup>.

Gdyby jedna relacja między płciami miała się nawiązać, czy wszystko to, co dotąd zostało wypowiedziane, okazałoby się efektem-symptomem chęci jej unikania? Choć wiemy to doskonale, o wiele trudniej to wypowiedzieć. Stąd owa nagła konieczność przemilczenia rozkoszy owych kobiet-rzeźb, rozkoszy, która tylko w milczeniu jest do przełknięcia dla logiki jego pragnienia.

„Czy nie oznacza to, że pewne pole, którego z pewnością nie należy pomijać, zostaje zapoznane? Jest nim pole wszystkich istot przybierających status kobiety, zakładając, że byt bierze na siebie cokolwiek ze swego własnego losu”<sup>12</sup>.

<sup>9</sup> Tamże, s. 54.

<sup>10</sup> Tamże, s. 70.

<sup>11</sup> Tamże, s. 63.

<sup>12</sup> Tamże, s. 75.



W jaki sposób owa „istota” mogłaby tego dokonać, skoro przypisana zostaje do dyskursu, który z samej swej „istoty” wyklucza możliwość zabrania przez nią głosu w jego obrębie, przemawiania w jego ramach we własnym imieniu?

Chodziłoby tutaj zatem o określenie stosunku owej istoty do „ciała” oraz sposobu, w jakie podmioty mogą z niego czerpać rozkosz. To delikatny problem ekonomiczny, gdyż podszyty jest bezsenssem. „Innymi słowy miłość jest niemożliwa, a stosunek płciowy pogrąża się w otchłani bezsensu, co nie umniejsza w żadnym stopniu naszego zainteresowania Innym”<sup>13</sup>.

Należy zatem z rozważą – iść do łóżka. „Dlatego wystarczyć nam musi delikatny uścisk, objęcie po prostu, tak właśnie, przedramienia bądź czegokolwiek innego – au!”<sup>14</sup>.

Z tak blącego powodu? Ból? Zaskoczenie? Cierpienie? Bez wątpienia, czyżby owa część ciała nie została jeszcze „ucieleśniona w sposób znaczący”? Nie została jeszcze w dostatecznym stopniu przeistoczona w „rozkoszującą się substancję”?

„Czy nie to właśnie zakłada doświadczenie psychoanalityczne? – substancję ciała, pod warunkiem że definiuje się ją jedynie przez to, że się rozkoszuje? Czyli, bez wątpienia, własność żywego ciała, nie wiadomo jednakże, co oznacza takie ożywienie, prócz tego właśnie, że ciało rozkoszuje się samym sobą. Rozkoszuje się sobą jedynie za pośrednictwem samoucieleśnienia w sposób znaczący. Co wymaga czegoś odmiennego aniżeli *partes extra partes* substancji rozciąglej. Jak podkreśla w godny podziwu sposób ów kantysta, jakim był Sade, rozkoszować można się jedynie częścią ciała Innego, z tego prostego powodu, że nie sposób nigdy ujrzeć ciała owiniętego całkowicie wokół ciała Innego, ostatecznie osaczonego i wchłoniętego”<sup>15</sup>. Stawką w tej grze jest zatem „rozkoszowanie się ciałem, ciałem symbolizującym Innego, zakładając w pewnej mierze coś, co może posłużyć określeniu innej formy substancji, mianowicie rozkoszującej się substancji”<sup>16</sup>.

„Au!...”, po drugiej stronie. Przez co trzeba przejść, by doprowadzić do takiego prze-istoczenia czy prze-kształcenia? W jaki sposób, ile jeszcze razy trzeba będzie poddać się podziałowi na „części”, dać się rozczłonkować, rozrąbać, poćwiartować... by dostatecznie zyskać na znaczeniu? I na substancji? Nie będąc tego zarazem w najmniejszym stopniu świadomą. Ledwie doznając..., odczuwając czy przeczuwając...

<sup>13</sup> Tamże, s. 80–81.

<sup>14</sup> Tamże, s. 26.

<sup>15</sup> Tamże.

„Rozkoszowanie się ma tę zasadniczą właściwość, że w ostatecznym rozrachunku jedno ciało rozkoszuje się częścią ciała Innego. Ta część jednak również się rozkoszuje – czy się to Innemu podoba, czy też nie, niemniej faktem pozostaje, że Inny nie może pozostać wobec tego obojętny”<sup>17</sup>.

Pozostaje zatem faktem. Czy się to Innemu podoba, czy też nie. Dla niego jednak zdaje się to nie stanowić większego problemu. Chodzi raczej o dodatkowe rozkoszowanie się ciałem.

Rozkosz dodatkowa? Wartość dodatkowa? Ów zysk, naddatek rozkoszy w poznaniu nie powinien jednak – jeśli to tylko możliwe... – pozwolić nam zapomnieć o czasie potrzebnym na zrozumienie. Jeśli go zabraknie, nasza niewiedza dostarczy rozkoszy dodatkowej (jego) logice. Stąd bierze się owo uszczuplenie, niedobór rozkoszy, jeśli nie niedostatek jego wiedzy. Którym rozkoszuje się – mimo wszystko... – w większym stopniu aniżeli ty sama. Dając się nazbyt pospiesznie uwieść, nazbyt przedwcześnie zaspokoić (?), stajesz się współodpowiedzialna za wartość dodatkową, z której korzysta, którą wyzyskuje jego mowa, czerpiąc ją z twojego stawiającego opór ciała.

Rozkosz dodatkowa dotyczy w tym czasie ciała – Innego. Czyli w przypadku podmiotu, rozkoszy dodatkowej czerpanej z tego, co go pobudza, ustanawia i warunkuje jako istotę obdarzoną mową.

Chodzi tutaj zatem nie o jej ciało, „droga kobieto”, lecz o to, czemu musi się ono poddać z racji funkcjonowania nieświadomego siebie języka. Zrozumcie za nią jej niewiedzę dotyczącą tego, co się jej przytrafia...

Co nasz psychoanalityk tłumaczy w następujący sposób: „Dlatego twierdzę, że obdarzenie nieświadomością jest faktem niewiarygodnie wręcz dobroczynnym. Podmioty wiedzą, one wiedzą. Zarazem jednak nie wiedzą one wszystkiego. Na poziomie owego „nie-wszystkiego” nie ma niczego prócz niewiedzy Innego. To inny stanowi owo nie-wszystko, o tyle, o ile stanowi przynależy do nie-całkowitego-poznania w owym nie-wszystkim. Wobec tego wygodne chwilowo może wydać się obarczenie go za to odpowiedzialnością, do czego najbardziej otwarcie prowadzi analiza, choć nikt zdaje się tego nie zauważać: skoro istnieje jedynie męskie libido, to tylko z tego miejsca droga kobieta jest całością, innymi słowy z punktu widzenia mężczyzny i tylko z tego punktu widzenia droga kobieta posiadać może nieświadomość”<sup>18</sup>.

<sup>17</sup> Tamże.



Jak zostało powiedziane: kobieta może posiadać jedynie tę nieświadomość, którą obdarzy ją mężczyzna. Obnażając swą władzę do tego stopnia, że niemal nikt już zdaje się tego nie zauważać. Rozkoszowanie się kobietą, poddawanie jej psychoanalizie z punktu widzenia mężczyzny sprowadza się zatem do ponownego przywłaszczenia tej samej nieświadomości, której się jej uprzednio użyczyło. Nadal jednak, znów okupić musi to ona... ciałem.

Oto nieznośny dług, spłacany przez kobietę monetą fantazji snutych wokół przypisywanego jej pragnienia pozbawienia go najbardziej dlań cennej część jego ciała. Dokonuje logicznego przeskoku. Kobieta może czegoś chcieć wyłącznie skutkiem nieświadomości, której jej użyczył. Pragnąć tego tylko, co sam przypisał jej pragnieniu. Pomijając moment orzekania – samoorzekania? – ryzykuje utratę części czerpanej z niego rozkoszy. Czy w ten sposób jednak nie podtrzymuje on krążenia swego pragnienia?

„Czemu ma to służyć?”. Komu? „Służy to, jak powszechnie wiadomo, nakłonieniu do zabrania głosu istoty mówiącej, sprowadzonej tutaj do rangi mężczyzny, innymi słowy do tego – nie wiem, czy zwrócili Państwo uwagę na ów element teorii analitycznej – by istniała wyłącznie jako matka”<sup>19</sup>.

Jako nieświadoma macierz i matryca męskiego języka nie może ona nawiązać „swą własną” nieświadomością relacji, która nie byłaby naznaczona nieusuwalnym piętnem wywłaszczenia. W nieobecności, w ekstazie... W milczeniu. Ek-systencji przed i poza jakimkolwiek podmiotem.

Jak z owego stanu uniesienia powrócić może do społeczeństwa mężczyzn? „Korek zatykający ujście owej rozkoszy, w której nie jest cała, innymi słowy, z racji której w pewnym zakresie jest dla siebie – jako podmiot – nieobecna, znajdzie ona w owym małym »a«, jakim stanie się dla niej dziecko”<sup>20</sup>.

Tak, oczywiście... Znów... Bez dziecka nie ma ojca? Bez jakiegokolwiek rozwiązania, z mocy prawa, dla kobiecego pragnienia? Bez możliwości zamknięcia owej kwestii w macierzyńskiej reprodukcyjnej funkcji ciała-korka, zatykającego na stałe otwór braku relacji płciowych. I groźną otchłani, w którą strącić może wszelkie wytwory społeczne – symboliczne i wyobrażeniowe. Czemu i komu służą zatem owe z-„a”-tyczki?

Czemukolwiek, komukolwiek, jakkolwiek, póki nie jest ona „podmiotem”, innymi słowy póki swą mową, pragnieniem, rozkoszą nie jest

<sup>19</sup> Tamże.

<sup>20</sup> Tamże, s. 36.

w stanie zaburzyć funkcjonowania języka, stanowiącego prawo – panującej ekonomii władzy.

O ile zachowa milczenie i domkanie falliczny obieg, dany jej będzie nawet uprzywilejowany dostęp do „Boga”. Póki, nieobecna jako „podmiot”, pozwoli im zachować, a wręcz zagwarantuje, uprzywilejowaną pozycję władców. Tego typu funkcja może jednak okazać się nieco ryzykowna... A co by było, gdyby odkryła w tym warunek ich uwarunkowania? W rozkoszy „owego jej”, które nie istnieje i nic nie znaczy? „Jej”, które kobiety pewnego dnia mogłyby w pełni pojąć jako wynik rzutowania na owo in-fantylnie „bycie”, jakie dlań symbolizują, jego własnego stosunku do nihilizmu.

Podmioty nie wiedzą bowiem wszystkiego. Po stronie przyczyny zaś mógłby pokonać je równie dobrze fakt obarczenia Innego nazbyt wielkim brzemieniem. Kłopot polega na tym, że po swej stronie prawo oni nadal mają, a jeśli zajdzie konieczność, nie zawahają się użyć nawet brutalnej siły...

\* \* \*

Z tego względu kobiety pozbawione są prawa do rozkoszy. Jak również do dyskursu. Przyczyna, skutek, cel... prawo i dyskurs stanowią niepodzielną całość. A jeśli kobiety – zdaniem Lacana – nie mogą wypowiedzieć, poznać niczego ze swej rozkoszy, wynika to stąd, że nie potrafią jakkolwiek wpasować się w język i podporządkować jego panowaniu, językowi, który z jakiegoś tytułu miałby należeć do nich. A może jednak do niego?

Kobiece rozkosz byłaby zatem – dla nich, choć zawsze z jego nadania, na mocy jego prawa – nieuchronnie an-archiczna i a-teologiczna. Formułowany pod ich adresem nakaz – kierowany jednak wyłącznie z zewnątrz, co nie obywa się bez użycia przemocy – brzmi bowiem „Rozkoszuj się bez praw”. Innymi słowy, zgodnie z nauczaniem psychoanalizy, bez pragnienia. Jako nieuzasadniony, bezsensowny i niczym nieumotywowany, przypadkowy – „nadmiarowy” i „dodatkowy” wobec tego, co zasadnicze – jawiłby się ów dziwny stan kobiecego „ciała”, zwany przez mężczyzn rozkoszą. Stan całkowicie im nieznany, z którego zatem nie mogłyby tak naprawdę czerpać jakiegokolwiek rozkoszy. Stan, który wymykałby się jednak męskiemu pojmowaniu, nieuchwytny dla nich w ramach ich fallicznej ekonomii. Byłby to rodzaj „doznania” – „przejścia”: próby? – stanu „ogarniającego” ich, „wstrząsającego” nimi, a wręcz, w razie potrzeby, chroniącego i przychodzącego im z pomocą.



Nie całkiem jednak przypadkowego: nie mogliby się bowiem obyć bez niego jako dowodu na istnienie związku między ciałem a umysłem. Jako symptomu istnienia „nieodzownego substancjalnego składnika”, „substancjalnej jedności duszy i ciała”, której działanie zapewniać miałyby „rozkoszująca się substancja”.

Ponieważ nie, co poznawalne, nie może wywołać tego doznania, przeprowadzić owej próby-dowodu samodzielnie, jego ciężar spocząć musi na tym, co zmysłowe – na kobiecej rozkoszy, rozkoszy *a*-kobiety. Ciała-materii naznaczonego męskimi znaczącymi, podpory ich dusz-fantazmatów. Płaszczyzny zapisu ich kodów jako podmiotów obdarzonych mową, płaszczyzny projekcji „obiektów” ich pragnienia. Pęknięcie i szczelina między nimi, przeniesione na jej ciało, wzbudzające w niej rozkosz, mimo wszystko, nie przeszkadzają jej jednak – przynajmniej w jej przekonaniu – w byciu „oziębłą”. Rozkosz bez rozkoszy: spazm pozostałości „niemego” ciała-materii, wstrząsający nią w odstępach, w szczelinach, bez udziału jej świadomości. Za żadną cenę nie „wypowiadając”, nie „wydając głosu” owej rozkoszy, słowem się nią nie rozkoszując. Oto, w jaki sposób pełni dla nich dwojaką funkcję – niemożliwości oraz zakazu.

Jeśli mimo wszystko istnieje jeszcze coś na kształt kobiecej rozkoszy, to dlatego, że jest ona potrzebna mężczyznom do istnienia. Jest dla nich *użyteczna*, gdyż pozwala im znieść to, co w ich świecie, świecie mówiących podmiotów, jest nie do zniesienia, pozwala im być obdarzonymi duszą obcą temu światu – duszą fantazmatyczną. I wbrew wszystkiemu dusza ta powinna być „dzielna i niezłomna” – dość zabawne „dusze” właściwości w odniesieniu do czegoś, co czysto fantazmatyczne. Nie trudno się przekonać, na kogo spada obowiązek sprawowania pieczy nad owym fantazmatem. Kobiety, jako istoty pozbawione duszy, są jedynie strażniczkami dusz mężczyzn.

Nie wystarczy jednak, co oczywiste, by dusza ta pozostała na zewnątrz ich świata. Powinna ona na dodatek związać się w jakiś sposób na powrót z „ciałem” mówiącego podmiotu. *Konieczne* jest, by związek – fantazmatycznej – duszy z – odpisanym z języka, (od)wzorowanym na/w nim – ciałem dokonał się przy użyciu ich „narzędzi” w kobiecej rozkoszy.

Alibi dla owego nieco uduchowionego miłosnego działania będzie to, że za sprawą mężczyzny i dla niego realizować się ono będzie wyłącznie w trybie perwersji. Co przynajmniej na pozór uczyni je bardziej diabolicznym aniżeli kontemplacja najwyższej Istoty. Należałoby się jednak przekonać, czy rozstrzyga to całą kwestię w sposób ostateczny, czy też, w najlepszym razie, nie służy ono jego odwleczeniu? Na scenę wkracza

Mężczyźni twierdzą przecież, że kobiety nie potrafią powiedzieć niczego o swej rozkoszy. Oznacza to przyznanie się do ograniczeń własnego poznania. Bowiem „będąc mężczyzną, w partnerce widzi się narzędzie służące wspieraniu siebie samego, oparcie dla własnego narcyzmu”<sup>21</sup>.

Czy odtąd owa niewysłowiona ekstatyczna rozkosz nie zajmuje dla mężczyzny miejsca najwyższej Istoty, której motywowani narcyzmem potrzebują, a która ostatecznie wymyka się ich poznaniu? Czy nie przejmie ona w ich przypadku funkcji Boga? Z takim zastrzeżeniem, że kobiety okażą się na tyle dyskretne, że nie zakłócą logiki ich pragnienia? Bóg jest bowiem nieodzowny do tego, by podmioty mogły mówić, a tym bardziej, albo raczej, mówić o nim. „On” wszelako ze „swej” strony nie ma podmiotom nic do powiedzenia. To na mężczyznach spoczywa obowiązek ogłaszania jego praw. A w szczególności podporządkowania go własnej etyce.

Rozkosz seksualna wchłonięta zatem zostaje przez ciało Innego. Jest „wytwarzana” dlatego, że Inny częściowo wymyka się dyskursowi.

Tego rodzaju dyskursywny kryzys kompensowany jest przez falliczność, wspierającą się na Innym, karmiącą się nim, pożądającą siebie za jego pośrednictwem, mimo że nie odnosi się do niego w jakikolwiek sposób. Zakaz, przekreślenie, cięcie, fantazmatyczne oddzielenie, ekonomia znacząca, porządek, prawo władają rozkoszą ciała Innego. Odtąd zdanego/zdanej na wymienianie: jeden/jedna po drugim/drugiej.

Dla uniknięcia owego bezsensu kobiety, jedna po drugiej, zostaną schwytane i poddane próbie. Nie-całości kobiety w tym, co daje się wypowiedzieć w dyskursie, odpowiada konieczność, by – przynajmniej potencjalnie – osiąść je wszystkie, by zmusić je do poniesienia brzemienia niedostatku tego, czego nie da się wypowiedzieć, dysponują bowiem mimo wszystko ową nowonarodzoną substancją określaną mianem rozkoszy. Dyskursywny brak w ciele Innego przeistacza się w odstępy między nimi wszystkimi. Ek-staza Innego w stosunku do wypowiedalnego języka, który siłą rzeczy pozostać ma przyczyną rozkoszy dodatkowej, miarkowana jest, mierzona i opanowywana w obliczaniu/wyliczaniu kobiet.

Owo niedomaganie, rozziw, luka, otchłań w działaniu dyskursu zostaną wkrótce wypełnione inną substancją – substancją rozciąglą. Podlegającą oglądowi i ocenie nowoczesnej nauki: „Nie sposób także tak łatwo pozbyć się osławionej, dopełniającej tamtą Inną (myślącą) substancji rozciąglej, gdyż jest to nowoczesna przestrzeń, substancja czystej



przestrzeni, w podobnym duchu, w jakim mówi się o czystym umyśle. Trudno to uznać za obiecujące<sup>22</sup>.

Miejsce Innego, ciało Innego, zostanie odtąd rozpisane w sferze topologii. Najbliżej, jak to możliwe, punktu szepienia dyskursu z fantazmatem, w prawdzie przestrzennej orto-grafii, zaprzepaści się możliwość stosunku między płciami.

Położenie akcentu na przestrzeń oznaczało bowiem – być może? – danie na powrót pewnej szansy na spełnienie się rozkoszy innego, innej – kobiety. Wszelako chęć uczynienia z niej z powrotem nauki jest równoznaczne z wtłoczeniem jej z powrotem w logikę podmiotu. Ze zwróceniem tego, co dodatkowe i nadmiarowe, temu samemu. Ze sprowadzeniem innego do Innego Tego Samego. Co można by również interpretować jako podporządkowanie porządku realnego wyobraźniowej sferze mówiącego podmiotu.

Czy jednak najpewniejszą z rozkoszy nie jest rozkosz mówienia o miłości? Czego więcej potrzeba, prawdę (o niej) mówiąc?

„W dyskursie psychoanalitycznym tak naprawdę mówi się wyłącznie o miłości. Jakże w takim razie nie wyzbyć się poczucia, że wobec wszystkiego, co da się wypowiedzieć od momentu odkrycia dyskursu naukowego, jest to najzwyklejsza strata czasu? Tym, co wnosi dyskurs analityczny, a jest to być może, koniec końców, jedyny powód jego pojawienia się w pewnym punkcie dyskursu naukowego, jest bowiem stwierdzenie, że samo mówienie o miłości niesie z sobą rozkosz<sup>23</sup>.”

Rozkosz, która wystarcza psychoanalitykom? Im, którzy wiedzą – tym przynajmniej, którzy są w stanie cokolwiek poznać – że stosunek płciowy nie istnieje, że tym, co od wieków (zważywszy na całą historię filozofii) zajmuje jego miejsce, jest miłość. A skoro miłość jest efektem języka, ci którzy wiedzą, poprzestać mogą na jej przyczynach. Zawsze zatem przyczyna... nieustająca w swej gadaninie...

Wszelako nie można wyzbyć się tego rodzaju uczucia duchowo homoseksualnego zdumienia. Przecież „coś takiego nie istnieje”, „nie jest możliwe ustanowienie stosunku płciowego. Stąd wynika owa przewaga dyskursu psychoanalitycznego i z tej racji określa on faktyczny status wszystkich pozostałych dyskursów<sup>24</sup>.”

Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak podpisać się pod stwierdzeniami głoszącymi, że stosunek płciowy *jako taki* nie istnieje, że nie *da się go ustanowić*. Sprowadzającymi się do uznania, że dyskurs prawdy, dyskurs

<sup>22</sup> Tamże, s. 25.

<sup>23</sup> Tamże, s. 77.

„dowodzenia/pokazywania” w ekonomii swej logiki nie może uwzględnić i ująć stosunku płciowego. Czy jednak stwierdzenie o niemożliwości stosunku płciowego nie oznacza zarazem, że nie ma wyjścia poza ów logos, całkowicie podporządkowany dyskursowi poznania?

Czy nie pociąga to za sobą konieczności uznania za całkowicie ahistoryczny czysto historycznego przywileju *tego, co daje się dowieść, stematyzować, sformalizować*? Czy w takim ujęciu psychoanaliza nie pozostawiała niewolnicą dyskursu prawdy? Mówiąc o miłości, co zawsze czyniła. Jedynie z nieco większą naukową ścisłością? Z uwzględnieniem w nieco szerszym zakresie rozkoszy, by jej służyć? A tym samym przykuta na powrót nieodwołalnie wyłącznie do aktu mowy? Jako najskuteczniejsze narzędzie utrwalenie fallicznej ekonomii. Wiażące się nieodłącznie, co oczywiste, z ekonomią prawdy.

Stanowiłoby to dla kobiet pewien problem. Dla kobiet, które tak niewiele przecież wiedzą. Zwłaszcza o własnej płci. Płci, która przynajmniej im nie ma nic do powiedzenia. Chyba że za pośrednictwem rozkoszy „ciała” – Innego, dzięki któremu mogłyby cokolwiek wypowiedzieć. Mężczyźni wszelako i tak nie potrafiliby czegokolwiek z niej zrozumieć, czerpią rozkosz z rozkoszowania się organem jako falliczną przeszkodą.

Kobietom zatem – rozkosz „ciała; mężczyznom – rozkosz „organu”. Stosunek między płciami nawiązywałby się w ramach Tego Samego. Wszelako rozdzielałaby go na części pewna przegroda zakazu (a może dwie, nawet trzy?), spajane jedynie funkcjonowaniem dyskursu. Prawda świadomości, prawda „podmiotu” nieświadomości, prawda milczenia ciała Innego.

Akt seksualny między tym, co może, a tym, co nie może wypowiedzieć się z nieświadomości – rozróżnienie płci wedle ich zamieszkiwania w języku i zasiedlania przez język – najdoskonalszą postać przybierałby w czasie sesji analitycznej. Wszędzie indziej z konieczności kończyłby się niepowodzeniem. Z racji owego rozdziału płci w stosunku (seksualnym) – stanowiącego zaporę zakazu.

Zakazu, który rzecz jasna zachowuje pozory istnienia innego. Jego niesprowadzalności do tego samego. Podmiot bowiem nie może rozkoszować się nim jako takim. Inny bowiem nieustannie się sobie wymyka. Czyż można znaleźć lepszą gwarancję istnienia innego? Innego Tego Samego.

Czy definiując w ten sposób płcie, nie wracamy przypadkiem do tradycyjnego podziału na to, co racjonalne i to, co zmysłowe? Opatrzanie w końcu tego ostatniego wielką literą przypieczętowało jego podporządkowanie porządkowi inteligibilnemu. Również jako płaszczyźnie zapisu form. Czego nie sposób poznać wprost.



Inny zatem jest przedmiotem inskrypcji, w najmniejszym stopniu nie zdając sobie z tego sprawy. Podobnie jak wcześniej u Platona? Jako „zbiornik” przyjmujący dowolne formy, obejmujący wszystko, włączający wszystko prócz siebie samego, mimo że jego relacja z tym, co poznawalne, nigdy tak naprawdę nie zostaje nawiązana. Zbiornik jest w stanie odtworzyć wszystko, „odwzorować” wszystko prócz siebie samego, jako matryca mimetyzmu, jako łono mimikry. W ten sposób zbiornik może wiedzieć wszystko, wszystko bowiem przyjmuje, nie o tym, zwłaszcza o sobie samym, nie wiedząc. Jego funkcjonowanie zaś na płaszczyźnie języka, a szerzej znaczącego, byłoby dlań niepoznawalne z racji tego, że nadal w tym przypadku musiałby owemu funkcjonowaniu (nieodmiennie zmysłowego) udzielać wsparcia. To zaś nadawałoby osobliwy charakter jego stosunkowi do ek-systencji. Ek-systując w stosunku do wszelkiej „podmiotowej” formy, sam w sobie by nie istniał.

Stosunek do Innego z racji, przez, za pośrednictwem, dzięki... Inny jest niemożliwością: „Nie istnieje Inny Innego”. Przez co można rozumieć to, że nie istnieje metajęzyk, chyba że w tej mierze, w jakiej Inny *zajmuje już jego miejsce*, zawieszając/przekreślając w swej ek-systencji możliwość innego/innej. Gdyby bowiem inny istniał (bez tego z konieczności ek-statycznego skoku wielkiej litery), cała owa autoerotyczna, samoustanawiająca się, samorefleksyjna i samozwrotna ekonomia podmiotu czy „podmiotu” uległaby rozchwianiu, wytrącona zostałaby z równowagi. Niemożliwe „samopobudzanie” Innego przez siebie samego – innej przez siebie samą? – stanowiłoby warunek możliwości wytwarzania przez podmiot jakichkolwiek swych (jego, jej) pragnień. Inny służy przecież podmiotowi za macierz, matrycę, łono znaczących i tym właśnie leżałaby przyczyna jego pragnienia. A także wartości jego/tych narzędzi, z pomocą których stara się on uchwycić na powrót to, co w ten sposób go określa i warunkuje. Rozkosz (z) organu jako takiego odcinałaby go jednak ostatecznie od obiektu, do którego się skłania. Organ z kolei, formalny i aktywny sam siebie obiera za cel, a tym samym zawodzi w swym stosunku ze „zmysłową materią”. Uprzywilejowanie technicznej sprawności i władzy czyni z fallusa przeszkodę na drodze do stosunku seksualnego.

Ponadto, o czym warto pamiętać, jedynym pożądanym stosunkiem byłaby więź z matką – z płodzącym-karmiącym „ciałem” znaczących. Anatomia przynajmniej nie stoi już na przeszkodzie podziałowi ról płciowych... Z pewnym zastrzeżeniem: ponieważ nie ma kobiety, która mogłaby zaspokoić pragnienie mężczyzny, gdyż definiuje się ją wyłącznie przez jej przymusowe poddanie dyskursowi, a zwłaszcza obarcza się ją jego lukami, „Korek zatykający ujście owej rozkoszy, w której nie jest

podmiot – nieobecna, znajdzie ona w owym małym »a«, jakim stanie się dla niej dziecko”<sup>25</sup>.

Cytat ten wymaga powtórzenia: anatomia wślizguje się tutaj na powrót pod postacią konieczności wydania na świat potomstwa. Postulat mniej naukowy i o wiele ściślej metafizyczny aniżeli w teorii Freuda.

Jeśli chodzi o to, że kobieta nie istnieje, „jeśli istnieje dyskurs, który potrafiłby tego dowieść, jest nim z pewnością dyskurs analityczny, uwzględnia bowiem fakt, że kobietę ujmować można wyłącznie *quoad matrem*. W stosunku płciowym kobieta bierze udział jedynie jako matka”<sup>26</sup>.

Stwierdzenie, że kobietę „ujmować można wyłącznie *quoad matrem*”, doskonale wpisuje się w całą tradycję filozoficzną. To wręcz jeden z warunków jej możliwości. Jeden z jej nieodzownych fundamentów – to od (re)produkującej ziemi-matki-natury wytwórczy logos próbować będzie przejąć władzę, wyzwalać moc początku (początków) w monopolizacji źródeł.

Teoria psychoanalityczna wypowiada zatem prawdę o statusie kobiecej seksualności i stosunku płciowego. Na tym jednak poprzestaje. Zrzekając się zadania zinterpretowania historycznych uwarunkowań własnego dyskursu... „tym, czego nienawidzę z najbardziej uzasadnionych powodów, jest Historia”<sup>27</sup>, a zwłaszcza tego, co pociąga za sobą, aż po dziś dzień, wyłącznie męskie upłciowienie w zakresie stosowności jego praw, pozostaje w jarzmie fallocentryzmu, z którego stara się uczynić uniwersalną i ponadczasową wartość.

\* \* \*

Pozostaje zatem rozkosz mówienia o miłości. Rozkosz, jaką od dawna i nadal czerpie antyczna dusza. O której wiedzę starałaby się wypracować teoria psychoanalityczna. By czerpać dodatkową rozkosz? Z czego? I kto miałby to robić? Między kim a kim miałyby się ona ziścić?

Zuchwałe twierdzenie: rozkoszy nie sposób znaleźć w jakiegokolwiek relacji. Z wyjątkiem stosunku do tego samego. Z wyjątkiem narcystycznej rozkoszy, jaką pan, mieniąc się jedynowładcą, myli z rozkoszą Jednego.

Czy może zatem istnieć miłość bądź rozkosz innego? Poza mówieniem sobie o niej. Poza krążeniem wokół otchłani teologii negatywnej, by zrytualizować się w stylu – miłości dworskiej? Sięganiem Innego jako granicy, przywłaszczaniem go wszakże sobie natychmiast w figu-

<sup>25</sup> Tamże, s. 36.

<sup>26</sup> Tamże.



rach, żłobieniach, znaczących, listach miłosnych. Osaczając go, starając się zawładnąć, przyozdabiając się, zapadając się, onanizując się Innym, by mówić (o sobie): językiem miłości. Rozmawiać o tym z Innym w dyskursie, by mówić sobie o miłości, by wmówić sobie miłość.

Trzeba jednak przypomnieć, że zdaniem Lacana „miłość dworska pojawiła się w punkcie, w którym duchowo-jednopłciowe igraszki popadły w skrajną dekadencję, w ten rodzaj niemożliwego koszmaru zwanego feudalizmem. Na tym poziomie politycznego wynaturzenia musiało wyjść na jaw to, że po stronie kobiety istnieje coś, co nie może już dłużej działać”<sup>28</sup>.

Dyskurs staje się odtąd lennem. „Niemożliwy koszmar zwany feudalizmem” nie przestał dyktować swych praw. Jeszcze większą finezją wykazując się w doborze swych obiektów i metodach zawłaszczania. Trybach (prze)definiow(yw)ania swych domen. Wywodzenia w pole tych, którzy posiadli już swe terytoria – panów feudalnych i ich wasali.

Z tego punktu widzenia dyskurs psychoanalityczny, w tej mierze, w jakiej „określa on faktyczny status wszystkich pozostałych dyskursów”, miałby szansę odnieść zwycięstwo i przejąć niepodzielną władzę. Prześlizgując się przez ogrodzenie, przeprowadzając nowe podziały gruntów, rewidując i nowelizując, dyktujące im dotąd prawa kodeksy w świetle innego porządku – porządku nieświadomości, rozciągnąłby ostatecznie swe panowanie nad – a może pod? – wszystkimi innymi.

Upojony nadmiarem swej potęgi zapomina on jednak czasem, że musi ona zostać okupiona wyrzeczeniem się pewnego modelu panowania i poddaństwa. Dyskurs ten wszelako, wzorem wszystkich innych – a może w większym jeszcze stopniu aniżeli pozostałe? – reprodukuje ich logikę w odniesieniu do stosunku płciowego, pogłębia i utrwała jedynie poddaństwo kobiet. Kobiet, które nie mogą znaleźć dla siebie innego miejsca prócz samego serca dyskursu i jego funkcjonowania, niczym nieświadomość skazana nieubłaganie na milczenie jako niezmienna realność.

Nie ma odtąd jakiegokolwiek potrzeby, by się do niej umizgiwać. Rytuałowi miłości dworskiej wystarczy przecież język. Nie może jednak obyć się bez (jednego) stylu. Okazującego swe względy i poświęcającego należytą uwagę lukom i nieomogom mowy, nie-całości w dyskursie, brakowi w Innym, temu, co nie do końca wypowiedziane, wszelkim

pólsłówkom, a wręcz samej prawdzie. Bez kokieterii, prób uwiedzenia, intryg, zagadek i jeszcze... wytrysków, których przedwezesność odwlekana jest w mniejszym lub większym stopniu dzięki pośrednictwu języka – punktuując przebieg identyfikacji z rozkoszą damy, pani jego serca. „Oto nader wyrafinowany sposób na zaradzenie i zatuszowanie nieistnienia stosunku płciowego poprzez udawanie, że sami stajemy mu na przeszkodzie”<sup>29</sup>.

„Miłość dworska dla mężczyzny, dla którego dama serca, jego pani, całkowicie, w najbardziej służebnym sensie tego słowa mu poddana, była jedynym eleganckim sposobem na poradzenie sobie z brakiem stosunku płciowego”<sup>30</sup>.

Skoro zdaniem naszego psychoanalityka stosunek ten jest nieodwołalnie niemożliwy, sprawą najwyższej wagi staje się wypracowanie coraz to bardziej „eleganckich” metod radzenia sobie z tą sytuacją. Problem polega jednak na tym, że mężczyźni z owej impotencji chcieliby uczynić prawo, któremu nadal miałyby podlegać kobiety.

<sup>28</sup> Tamże, s. 65.